

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Spacer
kameleona

Wwyreżyserowanych przez Sławomira Michała Chwastowskiego „Zwierzeniach pornogwiazdy” Erica Bogosiana Tomasz Schimscheiner jest garścią plasteliny, garścią masy niepokojąco ciepłej i nieludzko podatnej na bycie kimkolwiek, garścią człowieka bez właściwości. Wystarczy pstryknąć, wystarczy, że niewidzialny bóg kabiny elektryków spowoduje na scenie nagłą ciemność, a Schimscheiner zrzuci skórę i w następnej jasności – jest już tym, kim w poprzedniej jasności nie był. Przez godzinę i dwadzieścia minut swego monologu o upadającym światku ludzi show-businessu – jest bodaj kilkunastoma postaciami.

Ta garść człowieka bez właściwości, garść, którą inaczej nazwać można aktorem, ma w sobie migotliwość całkiem tak mocarną, jak migotliwość skóry kameleona, co w prozie Julio Cortazara przechadza się po pstrokatym dywanie. Schimscheiner gra człowieka, który się składa jakby z samej tylko mimikry! Jest rozśpiewanym mistrzem ceremonii w jakimś pieprzonym kabarecie. Pstryk. Jest zblazowanym, tytułowym kosynierem filmów wyjątkowo „przyrodniczych”. Pstryk. Jako producent-ćpun, wszelkie interesy załatwia telefonicznie, wdychając przez rurkę czule rozsypane na szklanym blacie biurka linie białego szczęścia. Pstryk. Psio łasi się do reżysera na castingu, łasi się jak każdy bury kundel do każdej, zwiedzającej azył rodzinki. Pstryk. Oto fachowo reżyseruje arcydzieło kina wyjątkowo „przyrodniczego”... Gdzieś w połowie monologu Schimscheinera przychodzi niepokój. Kto trzyma w garści plastelinę? Kto tutaj lepi z ludzi ten żaloszny plankton?

Pstryk. Oto pornogwiazda, otulona jedwabnym szlafrokiem, w fotelu wypoczywa po dniu wytężonych ruchów posuwisto-zwrotnych. Pstryk. Z tubą w garści i gwiazdą szeryfa przypiętą do założonej na gołe ciało zamszowej kamizelki, zaprasza do wybitnego burdelu, gdzie, drogi gościu, otrzymasz nawet to, co ci się nie śmiało przyśnić. Pstryk. Skryty pod beretem z kolorowej włóczki i długimi, czarnymi dredami, spotkawszy aktora wybitnego, próbuje stłamsić swą biedę bycia tanim jak pieprz wędrownym artystą debilnych happeningów. Pstryk. Jako wszechstronnie wycykany przez boskie Hollywood strzęp nerwów, jako nieodwracalny już pokurcz duchowy, oddaje moc na każdą napotkaną ścianę. Pstryk. I znów jest tym, kim był na początku – rozśpiewanym mistrzem ceremonii w jakimś pieprzonym kabarecie. Ale już nie śpiewa. Śpiew jego słychać w głośnikach. Nie śpiewa, nie rusza się. Ot, uśmiech żalosznego człowieczka zamarty nad tandetną „muchą”, znieruchomiałą na chyba już martwej grdyce. Woskowa lalka, jakiś fatalny golem, którego zapomniano nakręcić, by gości zabawił swymi głupawymi sztuczkami... Pstryk. I znów niepokój. Kto lepi? Czyje palce robią z ciepłą plasteliną to, co

tylko dusza zamarzy? Człowiek – czyja to zachcianka?

Filozof mawia: jest się tym, kim się jest, o ile jest się tym, kim się nie jest. Cierpka, negatywna definicja siebie. Ale i zarazem piękna, bo oczywista definicja aktorstwa. Schimscheiner otóż jest tym – kim nie jest. Tak, to jest oczywistość, tylko że wcale nie tak oczywista, jakby się zdawało. Rzecz po prostu w tym, że główny bohater monologu Schimscheinera nazywa się – Schimscheiner. Powtórzę niepokój. Kto i kogo tutaj lepi? Czyje palce powodują, że Schimscheiner nie jest sobą, bo jest zaledwie kolejną z migoczących na scenie masek sztucznych i chwilowych jak każdy teatr?

I oto czas najwyższy, by mnie szlag trafił. Przecież to zapętlenie – aktor do tyła omotyany maskami, że własna twarz jego staje się dla niego fikcją z papier maché – mogłoby dać nam kawałek bardzo gorzkiej przypowieści scenicznej o naturze prawdy i udawania! Jeśli kto woli – o iście Gombrowiczowskiej niemożności odróżnienia jednego od drugiego. Owszem, mogłoby, gdyby Schimscheiner nie był zmuszony do wygadywania tak sążnistych głupot. Niepojęte, że Bogosian, autor monologów wręcz wirtuozersko niejednoznacznych, w „Zwierzeniach pornogwiazdy” walnął zwłokami swego pióra o dno banału. Ni mniej, ni więcej, tylko papier to jest, kolosalny papier pod hasłem: jak sobie mała pensjonarka wyobraża zło show-businessu w Mieście Aniołów. Czyli, oczywiście, bardzo be tam jest. Be, oraz – a fe! Więc niech Bozia uchowa, by tam jechać, bo tam nic, tylko piją, ćpają, gwałcą, co popadnie, zwłaszcza chłopcy chłopów, oraz tylko jedno ich interesuje – sukces mianowicie, złoty cielec maksymalnie szybkiego sukcesu w branży...

Tak, banal goni banal, w środku zaś – Schimscheiner. Ścisłej mówiąc: z jednej strony wirtuozeria aktorska Schimscheinera, z drugiej mocarny papier Bogosiana, a pomiędzy – przepaść nie do zasypania. Co tu dużo gadać, Schimscheiner wygląda całkiem tak, jakby wyglądał Luis Figo, gdyby nagle los dowcipny nakazał mu grać na środku pomocy w ukochanej naszej, 17-ligowej Garbarni Kraków. Magik masek i strzelista tandeta w ustach magika. To uwiera.

Bardzo uwiera ta niezręczność fatalna, i bardzo by się chciało Schimscheinera zobaczyć w innym, subtelniejszym tekście. Ale i zarazem chyba nie jest aż tak źle, jak to zasugerowałem. Nie jest, bo w końcu mego cierpkiego niepokojem nie wziąłem z powietrza, jeno wprost ze sceny właśnie. Czyje palce nas lepią? Kto każe grać nam w teatr albo w życie? Nie ma odpowiedzi. Jest tylko mozolne czekanie na wiadomy pstryk.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Eric Bogosian „Zwierzenia pornogwiazdy”. Adaptacja i reżyseria Sławomir Michał Chwastowski. Przestrzeń Marek Braun. Kostiumy Jolanta Łagowska. Muzyka EMINEM.